Nr. 23. Gdańsk, na czwartek 9 czerwca 1904. Rok XI.

# ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

## Czapla, ryby i rak.

Czapla stara jak to bywa,
Trochę ślepa, trochę krzywa,
Gdy już ryb łowić nie mogła;
Na taki się koncept wzmogła;
Rzekła rybom: Wy nie wiecie
A tu o was idzie przecie.
Więc wiedzieć chciały
Czego się obawiać miały.
Wczora
Z wieczora
Wysłuchałam jak rybacy
Rozmawiali: wiele pracy
Łowić wędką lub więczerzem;
Spuśćmy staw, wszystkie zabierzem.
Nie będą mieć otuchy,
Skoro staw będzie suchy,
Ryby w płacz, a czapla na to,
Boleję nad waszą stratą.
Lecz można złemu zaradzić,
I gdzieindziej was osadzić.
Jest tu drugi staw blizko,
Tam obierzcie siedlisko,
Chociaż pierwszy wysuszą,
Z drugiego was nie ruszą
Więc nas przenieś rzekły ryby.
Wzdragała się czapla niby;
Dała się nakoniec użyć.
Zaczęła służyć.
Brała jednę po drugiej w pysk, niby nieść mając,
I tak powoli zjadając.
Zachciało się nakoniec skosztować i raki.
Jeden z nich widząc że go czapla niesie w krzaki,
Postrzegł zdradę, o zemstę zaraz się pokusił.
Tak dobrze za kark ujął, iż czaplę udusił
Padła nieżywa.
Tak zdrajcom bywa.

## Michałkowe lato.

Zaledwie jaskółki zaczęły odlatywać od nas w cieplejsze kraje, gdy lato z głową smutnie spuszczoną, krokiem powolnym, jak gdyby znużone upałem — przyszło do ogrodów i westchnąwszy z cicha, rzecze:

— Bywajcie mi zdrowe, moje lube grzędy, odchodzę, gdyż muszę ustąpić jesieni, która już się zbliża z poświstem wiatru.

Posmutniały zaraz ogrody. A lato, zebrawszy mnóstwo zwiędłych róż i innych kwiatów, których barwą i wonią rozkoszowali się ludzie w lipcu i sierpniu, ułożyło z nich stos ogromny na dużym wozie, opróżnionym po zwiezieniu zboża i siana do stodół — i usiadłszy na wierzchu — odjechało.

Mijając łąki, nad któremi słonko świeciło już z każdym dniem krócej, deszczem łez żegnało lato puste doliny i góry... A wtedy z pól wysuwały się milczkiem szare mgiełki i wzdychały na pożegnanie lata, które coraz prędzej umykało, by swym wozem skrzypiącym nie zajść w drogę pędzącej spiesznie jesieni.

Już zdaleka można ją było rozpoznać wśród szumu wiatrów.

Na długiej żerdzi, potrząsając uciesznie ciężkim koszem, pełnym jabłek i śliwek, cała zaś obwieszona winogronami, w żółto czerwonej sukni szeleszczącej, z samych liści suchych uszytej — przeganiała się ona w swej podróży nad ziemią — z szarymi chmurami, które jak ołów roztopiony, przelewały się teraz wartko po niebie.

Wpadła jesień w ciemne bory i tu, między zasypiającemi paprotkami pobudziła duchy leśne w brunatnych kapeluszach grzybowych.

— Hej, moje dzieci, bierzcie się do roboty! Niech mi każdy z was korzeń szaleju trującego

umoczy w szafranie i wskoczy z nim co prędzej na swoje drzewo. Spieszcie się, dziatki. Niechże mi chyżo liście schną i żółkną, bo lada dzień Archanioł nadejdzie, na swym czarnym koniu!

A duchy leśne, w zaroślach dębowych i pod choinkami drzemiące, zrywają się na rozkaz swej pani i żywo uwijają się po gałęziach drzew i krzewów. Gdzie zaś tylko dotknie się ich narzędzie piekielne, natychmiast liść traci swą zieleń, żółknie i usycha.

Spieszą się ze swą robotą karzełki leśne, by ją ukończyć przed przybyciem Archanioła Michała, który musi zastać już pożółkłe drzewa.

Skoro on bowiem zadmie w swoją trąbę, zaczną wszystkie bory grać echem pieśń jesienną. A którędy z wichrem przeleci rumak Archanioła, zaczynają z drzew lecieć powoli zeschłe liście zżółkłe. Słonko zaś grzać przestaje i coraz to wcześniej chowa się za góry, z poza których chyłkiem wymykają się chłody wilgotne i po przez ogołocone drzew korony zakradają się do wsi, gdzie zaczynają — jak zmory — trapić biednych ludzi, nie mających czem przyodziać się cieplej.

Ale dla tych ludzi Archanioł jest bardzo łaskawy! Oto, co się naprzykład zdarzyło:

Pewna kobieta bardzo uboga, lubo zacna i pracowita, miała za cały majątek jedyne dziecko które tak ciężko zachorowało, że już nie miała matka nadziei, by jej Bóg pozwolił cieszyć się dłużej syneczkiem. W tem dziecinie jakoś lżej się zrobiło.

— Mamo, mamo, wynieś mnie trochę na pole!

— Nie można, moja pociecho, bo cię nie mam w co otulić! — tłomaczyła mu matka, która byłaby chętnie choremu chłopaczkowi nieba przychyliła, gdyby mogła, ale na dwór wynieść go bała się, by mu nie zaszkodził chłód ostatnich dni września.

— Nie można, moje dziecko, bo tam mokro i wietrzno. Widzisz, pędzi na koniu święty Michał, liście z strącając z deszczem. A kiedy przeleci, wichry zahuczą i zaraz oziębi się nagle.

— To szkoda, mamo, że nie można troszkę na pole szkoda! A możeby tak, moja mamo, poprosić tego Archanioła, żeby jeszcze dla mnie na kilka dni zostawił ciepło.

Usłyszawszy to, matka biedna zaczęła gorąco prosić świętego Michała o taką łaskę dla dziecka.

Archanioł zaś wysłuchał jej prośby i zboczywszy z drogi, ominął tę wieś, w której nazajutrz uszczęśliwiona kobieta wyniosła na pole swego synka, widząc pogodę suchą i ciepłą — jak dla słabego dziecka była potrzeba.

Odtąd też nieraz około dnia św. Michała, nawet po jesiennych chłodach, nastaje gdzieniegdzie jeszcze czas śliczny i słonko grzeje jakby w lecie.

Wtedy ludzie sobie powiadają:

— Musiał Archanioł wieś naszą ominąć, lecąc na swym koniu wichrowym. Będziemy więc mieli przez parę dni „Michałkowe lato“.

# ANIELKA.

## I.

Anielka jest piękną dziewczynką, a przytem, ani ubogą, ani sierotą. Posiada wszelkie warunki szczęścia: ma rodziców, braciszka, guwernantkę, własnego psa i mieszka na wsi. A wieś, szczególniej podczas lata, jest najstosowniejszem miejscem pobytu dla dzieci. Są one tam zdrowe, swobodne i lepiej bawią się, niż w mieście.

Tam niebo nie jest próżnią między domami, ale sklepieniem, które dobry Bóg rozciągnął nad światem i oparł na falistem polu. Tam są łąki pachnące, przezroczyste i chłodne strumienie, w których pływa obfitość małych rybek. Łany jasnozielonych kłosów żyta kołysze wiatr, jak niestrudzona niańka, śpiewając półgłosem: aa!... aa a!... bawiąc się ich pąsowemi makówkami i niebieskim chabrem.

Między łanami widać ścieżkę, po której idzie zwolna dziecię, odziane w szarą płachtę, z ciepłymi dwojaczkami dla ojca. Dalej gościniec, gdzie znużony długim wypoczynkiem piasek, niekiedy zrywa się w kłębach i udaje podróżnego, aby tumanić ludzi w polu. Dalej zagony ziemniaków, gdzie drzemie pierzchliwy zając. Szare płaty ugorów, na których pasą się zamyślone i strzygące uszami stada rogatego bydła, a dalej już na granicy świata — lasy ciemne, surowe z wierzchu, hałaśliwe i wesołe we wnętrzu.

Przy gościńcu wieś ciągnie się we dwa pogięte szeregi, o parę stajń — dwór, otoczony wielkim ogrodem, szeroki, dostatni. W jednem skrzydle dworu Anielka uczy się pod okiem guwernantki, a w oszklonym ganku od ogrodu jej braciszek, Józio, bawi się obok matki.

Jemu jeszcze wolno bawić się w godzinach powszechnej pracy, bo on mały, ma dopiero lat siedm.

Ładna jest wieś, w której mieszka Anielka. Ładna, gdy nad polami skowronki świergocą, gdy od łąk zalatuje ciche dźwięczenie ostrzonych kos, gdy na gościńcu biegają z krzykiem opalone

dzieci, gdy we dworze; po skończonych lekcyach, matka z Anielką i Józiem wyjdzie do ogrodu, aby ze wzgórza patrzeć na pola, łąki, strumienie, gościniec i las odległy.

Chwila podobna zbliża się właśnie dla Anielki, wypowiadającej przed guwernantką swoją, panną Walentyną, ostatnią popołudniową lekcyę geografii.

Dziewczynka stoi na środku pokoju, oparłszy złożone ręce na czarnym lakierowanym stole. Ciemne włosy jej w powodzi czerwonego słońca błyszczą, jak złotemi nićmi przetkane. Machinalnie przestępuje z nóżki na nóżkę i błądzi oczyma po drzwiach, prowadzących do pokoju matki, po suficie lub stole zarzuconym książkami. Chciałaby już wybiedz do ogrodu, a tu jeszcze kilka minut do piątej brakuje!... Od snopów światła pomarańczowego, ściany pokoju lśniły się jak metalowe; biała pościel stojącego w kącie łóżeczka Anielki, raziła oczy, lusterko na stoliku błyszczało, jak gwiazda. Z lipy pachniał miód, a z dziedzińca dolatywało pianie krzykliwych kogutów.

Swiergot ptaków mieszał się z brzękiem pszczół i cichem szemraniem starych drzew ogrodu.

Ach! ta godzina nigdy chyba nie wybije — myślała Anielka, czując na twarzy powiew ciepłego wiatru.

Nareszcie — zamknięty w wysokiej, ciemnożółtej szafce zegar pokazujący dni, godziny i sekundy, wydzwonił naprzód cienko i prędko cztery kwandranse, potem grubo i powoli godzinę piątą.

— Złóż książki — rzekła nauczycielka.

— A Karuska czy mogę tu puścić?

— Możesz.

— Karuś tu!... zawołała Anielka.

Pies, nie czekając, aż mu drzwi otworzą, skoczył oknem do pokoju.

Był on biały, a nad lewem okiem miał czarną łatkę.

Anielka zaczęła składać i porządkować książki, a pies podskakiwał i chwytał dziewczynkę za rękawy, lub pukające buciki, widocznie upominając się o należne mu pieszczoty.

Skoro książki były złożone i pokój uporządkowany, nauczycielka ze swą uczenicą, poszły do ogrodu.

Ogród był wielki, dawny; z trzech stron w podkowę otaczał dom.

Tu żyły kasztany, rodzące biały kwiat, ułożony w piramidkę, a w jesieni kolczaste owoce; klony z liśćmi podobnymi do kaczej łapy; akacye z listkami ułożonymi, jak zęby gęstego grzebienia. Wzdłuż płotu siedziały lipy, pełne wróbli, pilnujących pól i stodół, wychudłe topole włoskie i szeroko rozgałęzione u dołu, a ostre u szczytu smutne świerki.

Srodek parku zajmowała sadzawka, otoczona wierzbami. W zimie wyglądały one, jak połamane, upadające chore pnie; w ciepłych miesiącach roku, odziewały się delikatnemi gałązkami, tudzież liściem o zielonym wierzchu.

Szły teraz Anielka i jej guwernantka ścieżyną nierówną, powoli zarastającą zielskiem. Dziewczynkę upajało otoczenie. Oddychała prędko i głęboko, chciała oglądać każdą gałązkę, lecieć za każdym ptakiem, albo motylem i wszystko ogarnąć uściskiem. Wtem z odległości i kilkudziesięciu kroków doleciał Anielkę cienki głosik dziecięcy:

— Malu!... malu!... maluśki!...

Odpowiedziało mu wesołe chrząkanie prosięcia.

Karusek podniósł uszy. Anielka, zapomniawszy o swych medytacyach, jednym skokiem stanęła na ławce i rozejrzała się.

Za ogrodzeniem parku ciągnął się gościniec do miasteczka. Zdaleka widać było furę otoczoną tumanem kurzu, w którego kłębach iskrzyły się promienie słońca. Bliżej szło paru ubogich żydków.

Jeden niósł jakiś duży przedmiot w szarej płachcie, drugi kiwające się buty na lasce.

Jeszcze bliżej, między konarami drzew i dygoczącymi liśćmi, tuż naprzeciw białych kominów dworu, stała chata włościanina Gajdy, a przy niej dziewczynka w grubej koszuli. Siedziała ona na ziemi i okruchami chleba karmiła spore prosiątko. Potem wzięła ciągle chrząkające prosię na kolana i bawiła się z niem jak z pieskiem.

Na Anielkę szczególna ta grupa wywierała taki wpływ, jak żelazo na magnes. Zeskoczyła z ławki, zeszła ze wzgórka, ale po chwili — zatrzymała się.

## II.

Gajdy, właściciela chaty, bardzo nie lubił ojciec Anielki, bo mówiono, że kradnie drzewo w dworskich lasach.

Anielka wiele słyszała o tych stosunkach, bała się Gajdy i nie lubiła jego chaty. Mimo to pociągał ją widok dziewczyny, bawiącej się z pogardzonem przez wszystkich prosiątkiem. Zdawało się Anielce, że dziecko musi być biedne i dobre, a zresztą — coś ciągnęło ją tam... Odgarniając gałęzie krzaków, Anielka powoli zbliżyła się do płotu, zbudowanego nakształt palisady. Był stary, obrosły ciemnozielonym mchem i popielatym, łatwo rozcierającym się w palcach, porostem.

Zapominając o swych trzynastu latach, Anielka przez jeden z szerszych otworów w płocie wydostała się na gościniec i podeszła do dziewczyny w grubej koszuli.

Ubogie dziecko w pierwszej chwili przestraszyło się ładnie ubranej panienki ze dworu.

Otworzyło szeroko usta i podniosło się z ziemi, jakby chcąc uciekać. Wtedy Anielka wydobyła sucharek z kieszeni i ukazując go dziewczynce, zawołała:

— Nie bój się mnie! Ja ci przecież nic złego nie zrobię. Widzisz, oto com dla ciebie przyniosła. Pokosztuj no. I włożyła dziecku do ust kawałek olukrowanego ciasta. Dziewczyna zjadła, nie spuszczając z Anielki zdziwionych oczu.

— Masz jeszcze. Smakuje ci — co?

— Dobre! odpowiedziało dziecko.

Anielka usiadła na przewróconym pniu, obok niej przykucnęła na piasku dziewczyna.

— Jak ci na imię? — spytała, głaszcząc ją po tłustych, jasnożółtawych włosach.

— Magda.

— Masz, Magdziu, jedz jeszcze sucharek. A to prosię, czy twoje? — dodała patrząc na prosiaka, którego Karuś chciał za ogon schwytać i który odwrócił się do niego ryjem, pokwitując w sposób, okazujący mało uprzejmości.

— Tatulowe — odparła już nieco ośmielona dziewczyna. Żeby go choć pies nie zagryzł.

— Karusek do nogi!... To ty zawsze bawisz się z prosiątkiem?

— A jużci. Jałośka już urosła, a Kaśka w tamtym roku umarła... Malu!... malu! I woli być ze mną, bo także nie ma z kim chodzić. Maciorę dziedzic kazali zastrzelić, a drobiazg tatulo sprzedali: ino ten ostał.

— A za co maciorę zastrzelił?

— Bo zdybał ją dziedzic w szkodzie.

— Wyście tylko jednę mieli?

— A zkądby więcej? Tatulo przecie chłop, to u nas dobytku nie może być wiele... To mówiąc, głaskała prosiaka, który położył się obok niej.

I bardzo ci było żal maciory?

— O i jak! a jeszcze lepiej, kiej mnie tatuś zbili...

— Zbił cię?

— I... nie tak zbili, ino mnie wzięli za łeb i kopnęli parę razy nogą.

Dziecko opowiadało to bardzo spokojnie. Anielka aż pobladła. Zdawało się jej, że Karusek został zabity i że ją samą skatowano tak okrutnie.

Uczuła potrzebę wynagrodzenia tylu krzywd biednej, ale czem? Gdyby miała majątek, podarowałaby jej maciorę, sprawiła piękną sukienkę; lecz dziś cóż jej da?

(Dokończenie nastąpi.)

# ŁAMIGŁOWKI.

I.

Środkowy rząd prostopadły i poziomy utworzy nazwisko poety polskiego.

.
. . .
. . . . .
. . . . . .
. . . . .
. . .
.

Znaczenie wyrazów:

1) Spółgłoska.
2) Żyje w wodzie,
3) Imię żeńskie.
4) . . . . . .
5) Drzewo leśne.
6) Część twarzy.
7) Samogłoska.

II.

Co to za chłop?
Ma na dachu snop,
A w tym snopie
Dziurę kopie.
Tam ma swoje chłopięta,
Pilnie o nich pamięta,
A gdy do nich leci,
Klapie gębą na dzieci.

**Rozwiązanie łamigłówek z nr. 22.**

I.

1) Piotr Skarga
2) Iwan Groźny
3) Onacewicz
4) Tarnopol
5) Rytgier
6) Sikora
7) Korab
8) Anna
9) Rok
10) Ge
11) A

Dobre rozwiązanie łamigłówek z nr. 22 Anioła Stróża nadesłała Marta Główczewska z Kaszuby.

Redaktor odpowiedz. w zastęp. Wojciech Wróblewski w Gdańsku. Drukiem i nakładem Pelagii Palędzkiej w Gdańsku.